



Rewolucja przemysłowa w nauce?

JANUSZ LIPKOWSKI

Ten tekst nie jest dogłębnym opracowaniem prokacyjnej tezy postawionej w tytule – to wymagałoby wielostronicowego rozwinięcia. Zamiast tego chciałbym za pomocą kilku luźnych obserwacji i refleksji nawiązać do toczącej się od dłuższego czasu dyskusji na temat strategii w organizacji nauki i dydaktyki. I usłyszeć od Czytelników, co sądzą na ten temat. Może wtedy przyjdzie czas na pełniejszą analizę.

Zacznę od paru uwag na temat relacji „uczeń–mistrz”, na ogół chętnie wymienianej jako podstawowy kanon organizacji badań naukowych i kształcenia młodej kadry. Nie jestem pewny, jak to wygląda w innych dziedzinach nauki, ale w chemii często zadają sobie pytanie, słuchając na konferencjach naukowych referatów wygłaszanych przez wybitnych przedstawicieli świata nauki, który z nich jest istotnie mistrzem? W czasach, do których ten termin się odnosi, mistrz był autorem koncepcji badań, najczęściej też sam tworzył własny warsztat badawczy i miał wiedzę wybitnie odróżniającą go od najbliższego otoczenia. Dzisiaj tak być nie musi. Warsztat można sobie kupić (co więcej: tak właśnie się czyni najczęściej), wytwarzanie nowoczesnej aparatury badawczej i pomocniczego sprzętu już dawno przejęły wyspecjalizowane firmy zaopatrujące naukę¹. Koncepcję badań można bez większego trudu zapożyczyć, dzięki powszechnemu dostępowi do informacji o projektach badawczych prowadzonych gdzie indziej. Zaś wiedza..., no cóż, ten wątek wolałbym teraz pozostawić bez komentarza. Natomiast kluczowe dla własnego sukcesu współczesnego lidera badań jest zatrudnienie odpowiednio licznej i dobrze wykwalifikowanej kadry². Do tego niezbędne są odpowiednie fundusze. W sumie, dzisiejszy „mistrz” musi być sprawnym przedsiębiorcą, zdolnym do zdobycia funduszy i przyciągnięcia młodej kadry. W pojedynkę niewiele wskóra, musi się dobrze wkomponować w system organizacji i finansowania badań.

Tego typu sytuacja zaistniała już, w pewnym sensie, w tzw. okresie słusznie minionym. Wtedy ważną kwalifikacją kandydata na „mistrza” były przywileje polityczne,

dzisiaj niemające, na szczęście, znaczenia. Zaletą politycznie ustawionego lidera była możliwość zapewnienia rozmaitych korzyści dla zespołu. Problemem, jaki się nieuchronnie pojawiał, były osobiste ambicje naukowe lidera, jakże często przekraczające jego własne, twórcze zdolności. Od tego typu problemu nie jest wolny obecny system. Lider-przedsiębiorca nie musi być równie twórczy naukowo jak organizacyjnie. Nadrabia więc czasem, zgadzając się na współautorstwo prac, w których nie miał udziału, lub, co gorsza, wymuszając współudział w publikacjach czy patentach. Taka sytuacja nie jest nieuchronna. Mógłbym podać przykłady niezwykle rzetelnego sprawowania funkcji wyłącznie organizacyjnych, bez pretendowania do awansów naukowych. Ale nie byłoby też trudno wskazać przykłady przeciwnie.

System organizacji i finansowania badań naukowych w kraju wyraźnie sprzyja typowi lidera-przedsiębiorcy. Wskutek tego pojawiają się czasem koncepcje, by funkcje dyrektora instytutu naukowego powierzać menadżerom, a nie naukowcom, co miałoby sprzyjać rozwojowi placówki. Tak się jednak, na ogół, nie dzieje. Chyba nie potrafimy się na dobre rozstać z wizją „mistrza” jako lidera, także w sferze organizacji badań. Ale nie wiadomo, jak się sprawy rozwiną w przyszłości. Kwalifikacje „przedsiębiorcy” już teraz bywają brane pod uwagę np. przy awansach naukowych. Spotkałem się nawet z przypadkiem, gdy do awansu na stanowisko profesora zwyczajnego wymagano sukcesów w postaci zdobywania „bogaty” grantów.

Rewolucja przemysłowa wiązała się z brutalną konkurencją na rynku, zakład musiał być produktywny i ekonomicznie przynajmniej wystarczalny. Chyba świadomie zmierzamy do podobnego systemu w naszej nauce. Tendencje do wytworzenia w kraju *sui generis* rynku projektów badawczych są silne i w obecnej fazie reformy nauki dominujące. Przy tym nieporadne, bo kontrola efektywności badań wykonanych w projektach po ich zakończeniu jest fikcją, pozostają zaledwie jakieś zastępcze kryteria w rodzaju wskaźników bibliometrycznych³ czy czegoś w tym rodzaju. Nieporadne także z powodu niezwykłego

¹ Są, rzecz jasna, dość liczne wyjątki od tej zasady. Są wręcz dziedziny, w których tworzenie nowych narzędzi badawczych jest fundamentem postępu. Ale o wyjątkach tu nie mówimy.

² Najchętniej ludzi młodych, na krótkie kontrakty i często wymienianych.

³ Co gorsza, poddawanych różnym zabiegom „dostosowawczym”... Ponadto nie istnieje nic w rodzaju wolnego rynku efektów pracy naukowej. Wiem z rozmów z kolegami z innych krajów, że jest to problem powszechny. Przedstawiciel amerykańskiego NSF powiedział kiedyś w dyskusji po swoim referacie, że jedynym skutkiem nieudanego projektu jest u nich to, że jego autor już nigdy grantu w NSF nie otrzyma. Nie chciałbym nikogo urazić, ale mam wrażenie, że u nas ta reguła nie działa...

► rozdrobnienia badań. Kiedyś w rozmowie z przyjacielem z uczelni warszawskiej, którą przed laty ukończyłem, zauważyłem, że w naszych czasach studenckich na Wydziale X było siedmiu profesorów, a obecnie jest siedemdziesięciu. Kolega się oburzył, że to nie może być prawda, więc policzyliśmy. I było 67! Wielu bez tytułu profesorskiego, ale mających pełną samodzielność naukową i uprawienia także. Znam większość z tych osób, mam o nich dobrą opinię. Jednak Wydział przyjmujący na pierwszy rok studiów ok. 200 studentów rocznie, by miał prawie setkę samodzielnych pracowników nauki, prowadzących własne, odrębne od pozostałych, projekty badawcze, to jest – według mojego zdania – organizacyjny nonsens, przez który tracimy w międzynarodowej konkurencji, a także nie jesteśmy w stanie sensownie wdrożyć założeń reformy.

Przedsiębiorcy naukowcy po zreferowaniu swoich najnowszych badań na konferencjach naukowych pokazują zazwyczaj listę, często z fotografiami swoich współpracowników. To są studenci (czytaj: doktoranci) oraz stażyści (tzw. *post-docs*). Grupy są zazwyczaj liczne, powyżej 10, a czasem nawet powyżej 30 osób. Próbuje się do tych wzorów nawiązywać, ale tylko nieliczni osiągają porównywalne liczbowo grupy badawcze. W ten sposób uwiadcza się słabość polskiego systemu organizacji badań. A w tym brakuje niektórych, ważnych ogniw, jak np. systemu studiów podoktorskich. Mimo to zgłaszają się do

nas kandydaci na pozycje podoktorskie, ale na większą skalę to nie działa.

Czyli, ujmując rzecz skrótowo, przeprowadzamy tę „rewolucję przemysłową” w nauce nieporadnie i tracimy mnóstwo energii na rozwiązywanie niepotrzebnie stworzonych problemów. Nie sposób ich pokrocie wymienić, ale trzeba wyraźnie sobie powiedzieć: albo stworzymy system wzorowany na najlepszych, sprawdzonych modelach ze świata, albo będziemy tkwić w więzach stworzonych pospołu przez poprzednie systemy i najnowsze reformy. Bo czyż nie jest kolejnym absurdem system karier w nauce wymuszający na wszystkich pracownikach naukowych dążenie do profesury? I to w tempie regulowanym ustawowo: tyle lat na doktorat, potem tyle na habilitację, zaś dalsze dążenie do profesury tytułarnej jest już właściwie rutynową konsekwencją poprzednich awansów.

No i pozostaje podstawowe pytanie: czy ten „przemysłowy” model organizacji badań jest tym, do czego powinniśmy zdążyć? Osobiście mam wątpliwości. Ten model wymusza dążenie do produktywności (?), a to z kolei niesie ze sobą ryzyko rozmaitych wynaturzeń. Nadto skłania do formułowania projektów badawczych stosownie do istniejącej koniunktury. A ta jest tworzona przez biurokrację i odwołuje się do celów możliwych do przewidzenia. Fundamentalną zaś wartością badań naukowych jest przecież poszukiwanie nowości nieprzewidywalnych...

JANUSZ LIPKOWSKI

Towarzystwo Naukowe Warszawskie

Przełomowe odkrycia i koncepcje po II wojnie światowej

Farmacja naukowa

ROMAN KALISZAN

Nauki farmaceutyczne to właściwie zespół nauk. Matematyka, fizyka, biologia, chemia czy (w jakimś stopniu) medycyna są naukami bazowymi, podstawowymi. Farmacja łączy je wszystkie i przez to jest unikatowa. Dzięki swej interdyscyplinarności stwarza szczególne możliwości badawcze. To, że farmacja łączy różne nauki, nie znaczy, że nie muszą one być uprawiane na poziomie światowym. Uczony farmaceuta nie może być niedouczonym chemikiem, biologiem, medykiem czy fizykiem. Wiadomo, że tacy aptekarze, jak Proust czy Scheele, budowali naukową chemię. Absolutnie niedoceniany Ignacy Łukasiewicz zapoczątkował erę petrochemii i przemysłu naftowego. Jednym z pierwszych (1906) noblistów z chemii był Henri Moissan, który nagrodę otrzymał za badania nad związkami fluoru. Argentyński farmaceuta Bernardo Houssay dostał Nobla z fizjologii i medycyny za odkrycie hormonu przedniego płata przysadki. Louis J. Ignarro z USA został uhonorowany za wyjaśnienie biologicznej roli tlenku azotu. Niedawno Nobla otrzymał japoński farmaceuta Osamu Shimomura za wyizolowanie białka zielonej fluorescencji. Te przykłady ilustrują stopniowe zmiany akcentów w farmacji – z chemii w kierunku biologii.

Powszechne w nauce XIX wieku podejście redukcjonistyczne oznaczało podział farmacji na poszczególne subdyscypliny. Byli więc specjaliści od analizy leku, od technologii, syntezy itp. Podejście redukcjonistyczne charakteryzowało się gromadzeniem mnóstwa danych. Dzisiaj zresztą cała nauka jest zalana danymi. Obecnie ta produkcja danych staje się trochę jałowa. Dane mają służyć do wyciągnięcia informacji ogólnej, która może zostać wykorzystana do projektowania nowych leków lub poprawiania skuteczności (oraz dogodności) farmakoterapii. Farmacja obecnie mocno się zmienia. Współczesne nauki farmaceutyczne skupiają się na połączeniu badań eksperymentalnych, głównie analizy chemicznej i bioanalizy, z komputerowym przetwarzaniem danych, tzw. bioinformatyką czy cheminformatyką. Te metody matematycznego przetwarzania pozwalają, aby z dużych zbiorów danych, z tabel z tysiącami kolumn i tysiącami wierszy „wyłuskać” istotne informacje, potrzebne do utworzenia pewnych całości, struktur, systemów naukowych. Spośród zalewu danych nasz umysł nie bardzo umie istotne prawidłowości wychwycić. Na co dzień poruszamy się bowiem w przestrzeni dwu-, najwyżej trójwymiarowej. Tymczasem ►

► mnóstwo czynników wpływa na zdrowie ludzkie równocześnie i często przeciwstawnie. Wpływy są nie tylko różnorodne, ale i różnej wagi, siły, różnego kierunku, różnego znaczenia. Tego przy analizie danych „na oko” nie wyłapiemy. Obecnie jednak powszechnie dostępne jest odpowiednie oprogramowanie komputerowe, które potrafi z wielu rozproszonych danych wyekstrahować odpowiednią informację. Dlatego połączenie bioanalitiky z bioinformatyką zaczyna dominować w naukach farmaceutycznych.

Dzisiaj dzięki najbardziej nowoczesnym metodom analitycznym można oznaczać różnego rodzaju związki, na przykład w moczu pacjentów z nowotworem albo we krwi pacjentów z chorobami krążenia. Współczesne urządzenia analityczne są superczułe, supersprawne. Pozwalają sprawnie oznaczyć setki związków w mikro-stężeniach w każdym materiale biologicznym. Z tych informacji próbujemy wyłuskać regularności. Na przykład po zastosowaniu jakiegoś leku identyfikujemy specyficzne profile metaboliczne w krwi lub w moczu. Profile, bo jeden związek, jeden biomarker nie wystarcza do pełnej charakterystyki działania leku czy do wiarygodnej diagnostyki konkretnego schorzenia. Jeśli mamy, powiedzmy, 40–50 związków o różnych stężeniach, to staramy się rozpoznać tworzony przez nie wzorzec (obraz). Profile metaboliczne służą nie tylko diagnostyce. Są pacjenci oporni na działanie niektórych leków, na przykład standardowych leków krążeniowych. Nie wiadomo dlaczego. Próbuje się wykryć, co jest u nich charakterystycznego, że standardowa farmakoterapia okazuje się nieskuteczna.

Od pewnego czasu hasłem–kluczem w farmacji stała się nanotechnologia. Nadzieje z nią związane zdają się nieco fantastyczno-naukowe. Oczekuje się, żeby małe, sterowalne urządzenia „dowozili” lek do miejsca działania w organizmie i tam go uwalniały. Po drodze nic z tego leku nie miałyby przenikać w inne miejsca. Byłaby to więc doskonała celowana terapia: maksymalnie skuteczna i bezpieczna. Na przykład niszczone byłyby tylko komórki zmienione nowotworowo, a oszczędzane komórki zdrowe. To jest w teorii atrakcyjne. Nawet testuje się tego typu układy w modelach biologicznych. Wiadomo, że rozdrobnienie substancji stałych do wielkości nano (poniżej 100 nanometrów średnicy) pozwala na podawanie uzyskanych nanocząstek do krwi dożylnie. Klasycznych zawiesin z cząstkami stałymi nie można podawać dożylnie. Nanocząstki, np. pokryte tlenkiem żelaza, do których jest przyczepiony (fizycznie lub chemicznie) jakiś lek przeciwnowotworowy, można byłoby wstrzyknąć do krwi i nawet za pomocą pola magnetycznego kierować ich przemieszczeniami w ustroju. Teoretycznie zatem można byłoby kierować lek na pożądane miejsca, koncentrować w chorobowo zmienionych tkankach. Wszystko przedstawia się elegancko. Jednak w praktyce nie udaje się skoncentrować tych nanocząstek z przyczepionymi lekami na tyle dużo, żeby uzyskać efekt terapeutyczny. Obawiam się, że z nanocząstkami dowożącymi lek w zadane miejsce jest trochę tak, jak byśmy na ciężarówce na budowę dowozili po 2–3 cegły. Ileż tych ciężarówek musiałoby dojechać, żeby powstała budowla? Wydaje się, że bardziej obiecujące są nośniki białkowe, do których też można

przymocowywać leki. Takie białka nośnikowe można produkować jako przeciwciała przeciw konkretnym tkankom nowotworowo zmienionym. Przeciwciała z przyłączonym lekiem krążyłoby swobodnie w całym organizmie, zaś w miejscu docelowym wchodziło w reakcję antygen–przeciwciała, uwalniało wolny związek – i powstawałby efekt terapeutyczny.

Obecnie uważa się, że odpowiednio (bioinformatycznie) przetworzone dane bioanalityczne pozwolą na dobór najlepszej terapii dla danego pacjenta – na realizację farmakoterapii personalizowanej. Przecież każdy z nas reaguje inaczej na niektóre leki, używki czy trucizny. Chodzi o to, żeby pacjentów gorzej reagujących na dany lek zidentyfikować: żeby dla każdego pacjenta „skroić terapię na miarę”. Ta miara dla danego pacjenta może wywodzić się z genetyki. Tak jak mamy różny kolor oczu, tak możemy mieć zapisaną w naszym genomie różną wrażliwość na leki. Na przykład jest taki lek – *trastuzumab* – stosowany w raku sutka, który skuteczny jest tylko u około 25% populacji chorych. Kobiety mające białko receptorowe, z którym *trastuzumab* się łączy i hamuje komórki nowotworowe, mają szansę na kompletne wyleczenie. Na osoby niemające tego białka *trastuzumab* nie działa. Przed podaniem leku konieczny jest więc test genetyczny.

Coraz częściej w farmakoterapii personalizowanej stosuje się zestaw: lek + tzw. diagnostyk stowarzyszony (*companion diagnostic*). Leków, dla których wymogi testowe, diagnostyczne są konieczne, jest już w lecznictwie kilkanaście.

Personalizowana farmakoterapia to też indywidualna optymalizacja dawkowania leku. Dziś w praktyce dawkowanie jest najczęściej uniwersalne dla wszystkich pacjentów. A przecież już Paracelsus powiedział, że wszystko jest trucizną i nic nie jest trucizną: jest to kwestia dawki.

Paradygmat naukowej farmacji w Polsce musi się zmienić, gdyż cały czas dominuje u nas model XIX-wieczny. Model, który, nawiasem mówiąc, był powodem największych historycznie sukcesów farmacji. Tradycyjna farmacja była nastawiona na zdecydowanie chemiczne. W latach 60. XX wieku zaczęło się jednak rozwijać biologiczne podejście do farmacji i powstało pojęcie biofarmacji. Obecnie, gdy powstaje nowy produkt farmaceutyczny, nawet zawierający ten sam lek, trzeba wykazać, że będzie biorównoważny w stosunku do leków już będących na rynku. To można wykazać tylko w eksperymencie biologicznym, dokładnie w eksperymencie klinicznym na ludziach.

Owszem, dobry warsztat chemiczny jest w naukach farmaceutycznych niezbędny, ale obecnie ważniejsza od syntezy chemicznej jest analiza. Z bioanalizy wynikają najistotniejsze zastosowania i wytyczne dla nowoczesnej technologii postaci leku, dla optymalizacji farmakoterapii, czyli dla farmakoterapii personalizowanej oraz dla farmakogenetyki. Farmacja zdążyła w kierunku biologii molekularnej, bioanalizy, bioinformatyki. Takie połączenie rokuje łatwiejsze przejście naukowej farmacji w kierunku biologicznym i coraz ściślejsze powiązanie z nowoczesną medycyną.

ROMAN KALISZAN

czł. korespondent PAU, czł. rzeczywisty PAN
Katedra Biofarmacji i Farmakodynamiki,
Gdański Uniwersytet Medyczny

zaPAU

Przyrodnicy pracoholicy

Większość naukowców pracuje zdecydowanie więcej niż przepisowe 40 godzin tygodniowo. Standardem jest zostawanie w pracy po godzinach, a także zabieranie jej do domu. Nikogo nie dziwi również widok naukowca siedzącego w pracy w weekend czy w święta. Nic w tym dziwnego, ponieważ w środowisku naukowym panuje duża (i stale rosnąca) konkurencja. Jeśli chce się odnieść sukces, trzeba znaleźć czas na pisanie artykułów, wypełnianie wniosków grantowych, czytanie najnowszej literatury fachowej, udział w konferencjach i organizacjach naukowych, a do tego przede wszystkim na prowadzenie własnych badań! Dodatkowo mnóstwo czasu pochłania praca administracyjna i/lub dydaktyczna. Pomimo to wywiady przeprowadzone w środowisku pokazują, że zdecydowana większość uczonych odnajduje radość w tym, co robi, i jest zadowolona ze swojej pracy. Narzekania dotyczą przede wszystkim dużego obłożenia zajęciami ze studentami oraz prac administracyjnych.

Jak pokazują ostatnie badania, których wyniki ukazały się w renomowanym czasopiśmie „Biological Conservation”, biolodzy środowiskowi z różnych krajów przejawiają odmienne tendencje w pracy po godzinach. Autorzy pracy przeanalizowali czas nadesłania kilkunastu tysięcy artykułów i recenzji, które spłynęły w ciągu 9 lat do wyżej wspomnianego czasopisma. Pierwsza analiza dotyczyła dnia przesłania artykułów. Okazało się, że istnieją istotne różnice między różnymi narodami. Najczęściej w weekendy pracują Chińczycy (19% nadesłanych prac zostało wysłanych w weekend), Hindusi (19%), Izraelczycy (16%) i Polacy (13%). Z kolei narodami, które unikają weekendowej pracy, są Norwegowie i Belgowie (zaledwie 4% nadesłanych prac) oraz Argentyńczycy (6%). Ponadto zaobserwowano, że liczba manuskryptów przesyłanych do redakcji w weekendy wzrasta o 5% rocznie. Druga analiza dotyczyła dnia nadsyłania recenzji. I w tym

przypadku w czołówce znajdują się Polacy, którzy, tak samo jak Chińczycy i Singapurczycy, nadsyłają 25% recenzji w dni wolne od pracy. Na pierwszym miejscu plasują się recenzenci z Czech (27%). Oznacza to, że recenzenci z tych krajów poświęcają artykulom tyle samo czasu, bez względu na dzień tygodnia, nieważne, czy jest on wolny, czy nie! Na końcu stawki ponownie znajdują się Belgowie, tym razem w towarzystwie Irlandczyków (6%), oraz Brytyjczycy (9%). Ostatnia analiza dotyczyła godzin nadsyłania artykułów. Na jej potrzeby podzielono dobę na dwie równe części. Godziny od 7 rano do 19 (czasu lokalnego) określono jako godziny pracy, natomiast pozostałe jako nocne nadgodziny. Okazało się, że najwięcej po godzinach pracują Japończycy (30% nadesłanych prac), Meksykanie (26%) i Brazylijczycy (22%). Polacy znaleźli się na 10 miejscu na 28 krajów, z 19% prac przesłanych nocą. Stawkę zamykają Finowie (9%), naukowcy z RPA i Szwajcarzy (10%). Godziny nadsyłania prac nie były skorelowane z dniami tygodnia.

Z powyższych statystyk można wysnuć wnioski, że wśród biologów środowiskowych jest dużo pracoholików, poświęcających pracy zarówno dni wolne, jak i godziny nocne. Autorzy szacują, że przeciętny biolog przyrodnik pracuje około 60 godzin tygodniowo. Zaobserwować można, że szczególnie wielu naukowców pracuje po godzinach w krajach, gdzie rozwój nauki w ostatnich latach bardzo przyspieszył i istnieje duża konkurencja o granty i miejsca pracy, jak w Chinach czy Indiach, ale także w Polsce. Nasz kraj plasuje się w czołówce wszystkich trzech analiz, co może świadczyć o dużej pracowitości naszych naukowców, lecz niestety być może spowodowane jest to tym, iż w normalnych godzinach pracy zajmują się oni przede wszystkim dydaktyką i administracją, a na naukę po prostu nie wystarcza już czasu.

KRZYSZTOF DUDEK i MONIKA GAWALEK

Instytut Zoologii,
Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu

Na podstawie:

Campos-Arceiz A., Pin Koh L., Primack R.B. (2013), *Are conservation biologists working too hard?*, *Biological Conservation* 166:186–190.

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów i korespondencji oraz zaopatrywania ich własnymi tytułami. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.



Kraków – warto wiedzieć

O młodej polskiej emigracji



fot. archiwum

Rozmowa
z prof. DOROTĄ PRASZAŁOWICZ
z Uniwersytetu Jagiellońskiego,
organizatorką konferencji poświęconej
młodej polskiej emigracji

– Polska Akademia Umiejętności (z siedzibą w Krakowie) i Polski Uniwersytet na Obczyźnie (z siedzibą w Londynie) organizują 23 i 24 września br. w Krakowie konferencję zatytułowaną „Młoda polska emigracja w UE jako przedmiot badań psychologicznych, socjologicznych i kulturowych. EuroEmigranci.pl”. Problematyką migracji i zbiorowości emigranckich zajmuje się Pani Profesor od dawna, stąd wykłady, publikacje i funkcja redaktora naczelnego kwartalnika „Studia Migracyjne”. Teraz przewodniczy Pani komitetowi programowo-organizacyjnemu wspomnianej konferencji. Proszę powiedzieć, jaki jest powód i cel tej konferencji, nie pierwsze, jaką Pani organizuje.

– Po pierwsze, powodem konferencji są duże rozmiary strumienia migracji, które płyną z Polski. Po drugie, migracje te różnią się od migracji w poprzednich epokach, zatem wiedza, którą mieliśmy na temat mechanizmów procesów migracyjnych, musi być rozszerzana. Po trzecie, jest bardzo dużo projektów badawczych poświęconych współczesnym migracjom Polaków; są one prowadzone przez polskie zespoły badawcze, przez zespoły i jednostki żyjące za granicą, a także przez zespoły łączone, w których reprezentowane są środowiska krajowe oraz migracyjne. To ostatnie rozwiązanie powinno stać się obowiązujące, aby w analizach uwzględnione były dwie, dopełniające się perspektywy badawcze: krajowa oraz migracyjna. Podczas konferencji dokonujemy przeglądu i oceny całego tego, szybko rosnącego dorobku. Konferencja stanowi także platformę spotkania badaczy krajowych i zagranicznych, wymiany doświadczeń oraz planowania dalszych studiów.

– Jakie środowiska badano i jakie są wyniki tych badań?

– Nie można w sposób poważny odpowiedzieć krótko na takie pytanie. Gdyby było to możliwe, to konferencja byłaby niepotrzebna. W jej trakcie będzie mowa o najnowszych badaniach, które są jeszcze mało znane, a dotyczą coraz szerszych środowisk i są prowadzone z coraz to nowych punktów widzenia. Ciekawe jest to, że oprócz badań tradycyjnych, np. nad historiami sukcesu (pojedynczych) migrantów, zaczynają się badania na nowe tematy: przeobrażeń rodziny pod wpływem migracji, dzieci-migrantów, szoku kulturowego wiążącego się z migracjami powrotnymi (temat do tej pory niedostrzegany), problemów bezdomności i bezrobocia migrantów, różnych dysfunkcji, które pojawiają się w życiu migranta itd.

Zasadniczym novum naszej konferencji jest poświęcenie dużej uwagi badaniom psychologicznym, które do tej pory nie były obecne w studiach migracyjnych w stopniu wystarczającym. Po raz pierwszy prezentowane będą wyniki badań klinicznych dotyczących zdrowia psychicznego w warunkach migracji.

– Ważne są losy Państwa badań: czy ich wyniki jedynie wzbogacą wiedzę badaczy i znajdą miejsce na bibliotecznych półkach, czy też będą miały dalsze konsekwencje?

– Badania migracyjne zawsze miały (oprócz ściśle naukowego) znaczenie praktyczne. Podczas konferencji odbędzie się dyskusja panelowa zatytułowana: „W jaki sposób środowiska akademickie mogą wspierać polskich migrantów?” W jej trakcie będziemy formułować konkretne programy działań skierowanych do migrantów. Tytułem przykładu: od kilku lat apelujemy do władz, aby przygotowywać polskie szkoły do udzielania pomocy migrantom powrotnym. Należy przygotowywać dyrekcje szkół, nauczycieli oraz pedagogów szkolnych do pracy z dziećmi, które po powrocie z zagranicy przeżywają prawdziwy szok kulturowy i mają duże kłopoty adaptacyjne. Często te problemy powodują, iż rodzina decyduje się na ponowną migrację. Bardzo konkretne postulaty formułują tu prof. Halina Grzymała-Moszczyńska (psycholog) oraz prof. Władysław Miodunka (językoznawca), oboje z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Inny przykład: analizujemy przeobrażenia szkolnictwa polskiego za granicą i w raportach proponujemy pakiet działań kraju na rzecz polskiej oświaty w środowiskach migracyjnych.

To bardzo ważne zagadnienie, ponieważ polskie szkolnictwo pomaga podtrzymać zrozumienie i sympatię dla kultury kraju pochodzenia. Dlatego organizujemy za rok wielki kongres poświęcony także przyszłości polskiej oświaty poza krajem. Będzie to IV Kongres Polskich Towarzystw Naukowych na Obczyźnie, we wrześniu 2014 roku, którego gospodarzem będzie Polska Akademia Umiejętności. To kontynuacja III Kongresu, obradującego w Krakowie z inicjatywy PAU w 2011 roku. Tamten kongres zakończył się ogłoszeniem Deklaracji Krakowskiej, w której sformułowano oczekiwania zarówno badaczy, jak również środowisk migracyjnych pod adresem władz RP. To przykłady naszych konkretnych działań. Inna rzecz, że nasze apele nie spotykają się ze zrozumieniem władz. W tej oraz innych, równie ważnych sprawach, będziemy starali się znaleźć przekonujące argumenty, aby nas wysłuchano.

Rozmawiał: MARIAN NOWY



Młoda polska emigracja w UE
jako przedmiot badań
psychologicznych,
socjologicznych i kulturowych.
EuroEmigranci.pl



Zadanie publiczne w konkursie ogłoszonym przez Ministra Spraw Zagranicznych "Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2013 r." - pkt. C: "Wspieranie środowisk polskich; prawa mniejszości polskich, Polonii i Polaków za granicą".

